



## Ryszard Latecki

część I z II

Sygnatura notacji: **N1358**  
Data urodzenia: **29.08.1956 r.**  
Data nagrania: **23.05.2019 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska.**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**  
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 43 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Ryszard Latecki:** Na wstępie bardzo proszę, żeby pan podał swoje imię i nazwisko, miejsce i datę urodzenia, jak się nazywali i czym się zajmowali rodzice, o domu rodzinnym. Zaczniemy od... Nazwisko i imię: Ryszard Latecki, urodzony 29 sierpnia 1956 w Olkuszu. Rodzice: Emilia Latecka i Marian Latecki. Mama była nauczycielką, żyje, jest na emeryturze, dziewięćdziesiąt lat prawie i nadal jest niesłychanie sprawna intelektualnie, pisze pytania do „Jednych z dziesięciu”. Nie występuje tam, no bo z racji wieku już nie daje rady, ale pisze pytania. Ojciec był elektrykiem, technikiem, pracował w zakładzie górniczo-hutniczym, całe życie na jednym stanowisku. Dalej, środowisko: to była olkuska inteligencja. Cóż więcej? Chodziłem do liceum w Olkuszu, to może być istotne, że szkołę średnią skończyłem w Olkuszu, później wyjechałem na studia i później już nigdy tam nie wróciłem do tego mojego rodzinnego miasta, ale wiem, że następnym pytaniem jest: Jak kształtowały się moje poglądy, moja postawa wobec tamtej rzeczywistości komunistycznej, bo maturę zrobiłem w roku siedemdziesiątym piątym, no i powiem, że wtedy obieg informacji był bardzo jednak taki selektywny i trafiało takich informacji o rzeczywistości polskiej, czyli o tym komunizmie, one były bardzo zdawkowe, ale mimo wszystko jednak trafiały. Zarówno sześćdziesiąty ósmy odbił się jakoś tam w jakichś dyskusjach w moim domu, w mojej rodzinie, jak i siedemdziesiąty rok, czyli te wypadki grudniowe, no i powiem, że ja już wtedy miałem taką dużą nieufność do tego, co się dzieje oficjalnie, czyli do komuny krótko mówiąc, miałem taki dystans. W liceum należałem do harcerstwa, dlatego że taka była w szkole opozycja pomiędzy ZMS-em – ZMS był bardziej taką organizacją, czy nawet nie bardziej, zdecydowanie zaangażowaną w tę stronę komunistyczną – natomiast harcerstwo, nie chcę powiedzieć, że było opozycyjne, ale było niezależne, no i w szkole był taki podział, że harcerze to byli wolnomysłiciele, bardziej zdecydowanie wolnomysłiciele tam trafiali, ludzie wolni, a nie podporządkowani tej oficjalnej linii komunistycznej, no więc należałem do harcerstwa i powiem nawet, że się gdzieś tam już

jakieś pomysły z takim moim kumplem, jednym z dwóch harcerzy w klasie, nas było tylko dwóch, już jakieś pomysły gdzieś tam się rodziły, żeby coś zrobić niezależnego wobec komuny, ale wtedy to nie przybrało żadnych kształtów, to raczej mówię o takich sprawach, które mnie gdzieś tam formowały, a nie przekładały się na konkretne działanie. Nawet na pewno byłem niegrzeczny – waliłem jabole po parkach, generalnie miałem rekordy na przykład szkoły w ilości wagarów, co może nie mieć związku, ale wydaje mi się, że jednak pewien ma dla jakiejś takiej postawy niepokornej, bo ja to widzę w szerszym aspekcie. To nie chodziło tylko o taką pokorę wobec polityki, wobec tych aspektów politycznych tego systemu, tylko generalnie wobec tego świata zastanego i taką potrzebę może na początku buntu, a później jednak zmieniania tego świata, jakąś potrzebę, żeby jednak mieć wpływ kształtować ten świat, zmieniać. Ale takim momentem przełomowym dla mnie w mojej świadomości, to był rzeczywiście przełom, to był siedemdziesiąty szósty rok i to, co się działo – właśnie co ciekawe – nie w Radomiu, no bo Radom był gdzieś daleko, no to docierały tam jakieś informacje, że wiadomo, co się tam działo wtedy w siedemdziesiątym szóstym, ale to, co się działo później, po Radomiu. Po Radomiu, panowie tego nie pamiętacie, ale po Radomiu odbywały się jakieś wielkie, ogromne spędy, wiece na stadionach poparcia dla władz, dla Gierka, i to personalnie dla Gierka. To już był taki kult jednostki. A w telewizji zobaczyłem taką wielką fetę na rzecz Gierka, która się odbyła w katowickim Spodku, i tam przez pół godziny było takie skandowanie: „Gierek, nasz ojciec” i tak dalej, i tak dalej, i taki sterowany entuzjazm i ta wielka sala, która krzyczała tam. To trwało przez pół godziny i powiem, że się niemal nie porzygałem, jak to widziałem, to było dla mnie takie formujące – od tego momentu wiedziałem już, że to... to właśnie ciekawe, bo to kwestie estetyczne bardziej zadecydowały niż taka kalkulacja polityczna: po prostu komunizm był ohydny, był obrzydliwy. Nie mogłem na to patrzeć, ale wtedy jeszcze się nie włączyłem w działalność taką opozycyjną, bo gdzieś życie mnie poniosło w jakieś inne rejony, takie rodzinne – ożeniłem się, pierwsze dziecko i tak dalej, więc wtedy się jeszcze nie włączyłem, jednak tak jak mówię, gdzieś inne sprawy mnie wciągnęły, ale był taki moment kiedy uznałem, że trzeba, i to ciekawe, bo to był taki moment, kiedy właściwie już wiadomo było, to późno, od razu zaznaczam, że historia tej pierwszej opozycji, czyli ta, która się po siedemdziesiątym szóstym roku narodziła i w kontekście „Nowej” pierwszej książki wtedy były wydawane, pierwsze podziemne drukarnie powstały, to nie jest moja historia. Moja historia takiej aktywnej działalności opozycyjnej to jest dopiero osiemdziesiąty pierwszy rok, kiedy po studiach poszedłem do pracy do regionu Mazowsze, a poszedłem w takim momencie, kiedy właściwie już wiadomo było, że to jest sprawa stracona, bo skończyłem studia w październiku, od listopada zacząłem pracę w poligrafii regionu Mazowsze „Solidarności”. Długo nie popracowałem tam, bo tylko miesiąc i trzynaście dni, 13 grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku. Co się działo po 13, natomiast takie odrębne, jakby mniejsze tematy, na których mi zależy, to jest właśnie to, co powiedziałaś: te różne specjalne techniki, o których mówiłaś, że były pełne inwencji, pełne surrealizmu prawie mechanicznego. Jak to się odbywało, sprzęt normalny, stabilny – na czym pracowaliście, jak pracowaliście, bezpieczeństwo, wpadki. Może zaczniemy od tego, że ja skończyłem studia poligraficzne, jestem z zawodu inżynierem poligrafem i to, że trafiłem do poligrafii akurat solidarnościowej na początku, to było naturalne, to było związane z moim zawodem i zresztą myślę, nawet to wiem na pewno, że niewiele osób miało takie kwalifikacje jak ja, związane właśnie z poligrafią. Mówię o poligrafii też później, już podziemnej. Tam może parę osób było, może dwie, może trzy, które były wykształconymi drukarzami, i ciekawa sprawa, dlatego że okazało się, że najciekawsze wynalazki w ogóle dla mnie jako inżyniera, te wynalazki były kompletnie „od czapy”, że tak powiem, wynalazki na poligrafię przyszły wcale nie od zawodowych poligrafów, nie od ludzi, którzy, wydawało się, że o poligrafii wiedzą wszystko, tylko od osób, które właśnie weszły od razu w poligrafię podziemną, a miały zupełnie inne kwalifikacje. Taką osobą,

to jest legenda podziemnej poligrafii, jest Witold Łuczywo, który był szefem poligrafii w regionie Mazowsze, który mnie tam zresztą przyjął do pracy, no i powiem, że ponieważ ja byłem zawodowcem i od razu trafiłem w takim okresie, kiedy myśmy już mieli jednak maszyny i tę poligrafię, powiedzmy, w miarę zaawansowaną, to ja niewiele tam z tych wynalazków używałem, bardziej znam je z opowieści czy były mi pokazywane, demonstrowane takie wynalazki, jak na przykład wykorzystanie papieru ściernego i folii aluminiowej, tak jak służy do pakowania żywności. Otóż okazywało się, że taki papier ścierny, podłożony na maszynie do pisania, z tą częścią ścierną w stronę piszącego, na to folia aluminiowa, i teraz maszyna do pisania zrobiła czcionki, które z maszyny uderzały w tę folię aluminiową, przecinały ją takimi kropeczkami, które wynikały jakby z granulatu tego papieru ściernego. No i teraz co się działo? Taka folia aluminiowa później założona na ramkę z obciągniętą flanelą, ta flanela nasączona rzadką farbą drukarską, watek i była matryca drukarska, której technika, nie wiem, jak to nazwać, ani to offset, ani to powielacz spirytusowy, białkowy, po prostu. Wiem też, tego akurat nie widziałem nigdy, że nadawał się do tego gruby, mocny papier kredowy, na którym był drukowany chyba miesięcznik, chyba „Kraj Rad”, taki porządny papier kredowy, jak się dobrze stuknęło na maszynie, to te czcionki też odrobinę przecinały ten papier i mogło to służyć jako matryca drukarska do drukowania, oczywiście do czasu, trochę krótszego czasu, dopóki nie przesiąknął farbą sam ten papier. Na pewno genialnym wynalazkiem była pasta komfort, ja akurat z tym miałem do czynienia. Wynalazek Witka Łuczywo. To by trzeba zacząć właśnie od techniki. Otóż takim w miarę prostym sposobem domowym można było drukować sitodrukiem, używać techniki sitodrukowej do drukowania, ale problem z sitodrukiem był taki, że w sitodruku warstwa farby, którą się nakłada na papier, jest dosyć gruba, no nie wiem, jest kilkadziesiąt-kilkaset razy grubsza niż na przykład w offsecie. Oczywiście dzisiaj nie ma z tym żadnego problemu, ale wtedy był problem z tym, że farba bardzo długo wysychała, właśnie dlatego, że była bardzo gruba warstwa farby, że ta farba bardzo długo wysychała na tym papierze, dosłownie kilka dni, jeśli to była taka normalna farba, czy typograficzna, czy offsetowa. Nie było takich farb, które by szybko schły, a znowu jeśli zastosować taką farbę, która bardzo szybko schnie, to wtedy zasychała na sicie i je przytykała, i genialny wynalazek, z tego, co wiem, to Witka Łuczywo, to była pasta komfort. Nie słyszeliście nigdy o tym? Pasta komfort to była pasta do prania, takie gęste mydło o konsystencji pomiędzy gęstym żelem, ale w każdym razie nie twarde mydło, tylko takie, no i do tego dodawało się albo farby drukarskiej, albo tuszu, po to, żeby zabarwić tę pastę komfort i z tego powstawała farba drukarska, która miała tę właściwość, że wysychała szybko, sito można było łatwo umyć, bo pasta komfort, więc nawet jak się przepchało to sito, to spokojnie można było umyć, i w tamtym czasie druki, które były robione właśnie na sicie, powstawały książki i okładki, pachniały pastą komfort. Nie wiem, czy do dzisiaj się ten zapach przechował, ale tak to było, że jak się brało do ręki takie sitodrukowe wydawnictwa, „Tygodnik Wojenny” był drukowany w ten sposób, to był taki zapach mydlany – to jest właśnie pasta komfort. Niewiele osób pewno pamięta o tym. To tyle o technice mogę powiedzieć. Ty powiedziałaś, że ja się zajmowałem kolportażem przede wszystkim – niezupełnie to jest tak, dlatego że w chwili, kiedy już wszedłem tak poważnie w drukowanie, już mówię w tej chwili o podziemiu, bo w regionie Mazowsze to wiadomo, drukowaliśmy kilka tytułów prasowych: „Niezależność”, „Wiadomości Dnia”, „As”, było kilka takich tytułów prasowych, ale później w podziemiu, jak już zajęłem się drukowaniem, to już się wtedy kolportażem nie zajmowałem, dlatego że myśmy bardzo jednak ściśle oddzielali te aktywności. Oczywiście wśród znajomych parę czy kilkanaście egzemplarzy to się gdzieś tam kolportowało, natomiast nie zajmował się jakby takim szerokim kolportażem. To były jakby sprawy rozdzielone ze względów bezpieczeństwa, bo kolportaż siłą rzeczy miał do czynienia z tym ostatnim odbiorcą, czytelnikiem, czyli musiał być nastawiony na dużą ilość takich kontaktów, a my przeciwnie, my, drukarnia, jak najmniej, w ogóle minimum

kontaktów ze światem i również ze światem opozycyjnym, po to, żeby tej drukarni nie narażać, dlatego że jednak najcenniejszym naszym sprzętem były maszyny drukarskie, które przychodziły z Zachodu, powielacze, na początku takie zwykłe, później offsetowe, no i taka wpadka maszyny to były bardzo poważne wpadki, tych maszyn po prostu zwyczajnie było szkoda i po prostu chroniliśmy drukarnie. A kolportaż, to był taki pierwszy okres stanu wojennego, bo kumpel, którego znałem jeszcze z regionu Mazowsze, po prostu wrzucił mi do domu dwie walizki książek – jedna walizka, to pamiętam, to był „Zniewolony umysł” Miłosza – książek, które były jeszcze wydrukowane przed stanem wojennym, przed 13 grudnia, przed rozpoczęciem wojny polsko-jaruzelskiej, dwie walizki książek, jedna to był Miłosz, a druga Barańczaka, tomik wierszy świetny zresztą tomik wierszy, tytuł chyba „Wiersze prawie zebrane”. Jak on mi to wrzucił, to musiałem coś z tym zrobić, zabrać nie chciałem, tak że o tyle miałem ten kontakt z kolportażem przez chwilę, i to były książki „Nowej”, no bo to były już moje kontakty z „Nową”. Zresztą te kontakty z „Nową” wzięły z regionu Mazowsza, dlatego że to były środowiska, które się ze sobą przenikały, były bardzo ze sobą powiązane. Osoby, które zaopatrywały na przykład w papier region Mazowsze, to były osoby, które również były związane z „Nową”. Teraz może byśmy cię poprosili, żebyś opowiedział troszeczkę o ludziach, z którymi współpracowałeś. Już jedną ikonę wymieniłeś, Witka Łuczywo, ale generalnie żeby padło troszeczkę nazwisk, zarówno tych, które kojarzysz, jak i tych, z którymi współpracowałeś – zarówno ikony, ludzie z pierwszej linii, ci szarzy, którzy niekoniecznie są jakoś dobrze znani. Mój taki kontakt z „Nową” to był Janek Kozłowski, znałem go z regionu Mazowsze i zaopatrywał w papier, a zwany „Fryzjerem”, bo on też w czasach przedwojennych w „Nowej” zajmował się obcinaniem książek na gilotynie ręcznej, więc miał ksywę „Fryzjer”. Myśmy się znali właśnie jeszcze z regionu Mazowsze, a spotkałem go przypadkowo na ulicy, no i tak się zaczęła moja współpraca już konkretnie z „Nową”. Wtedy te osoby jakby z takiego ścisłego kierownictwa „Nowej” były w internacie – Grzesiek Boguta siedział w internacie, był internowany, a koordynacją działań „Nowej” zajmowała się jego ówczesna żona, Magda Boguta. Pamiętam z nią jakieś spotkania, ale może opowiem o takim wątku, który jest taki może poboczny, ale jest może istotny, bo jest bardzo, wydaje mi się, mało znany ten wątek: wątek drukarni, która była na ulicy Targowej. Ja nie drukowałem w tej drukarni, zaznaczam, ale właśnie z Jankiem „Fryzjerem”, z którym, tak jak mówiłem, gdzieś spotkaliśmy się i zaczęliśmy coś tam kombinować, coś kręcić, dowoziliśmy papier do tej drukarni, a papier był kupowany na jakichś takich menelskich układach, to były układy Janka „Fryzjera”, na Grzybowskiej był taki sklep z papierem. Trzeba wiedzieć, że wtedy wszystko było reglamentowane, a wszystkie sprawy związane z poligrafią były bardzo ściśle reglamentowane, no ale jak to w życiu bywa, kierownik sklepu na Grzybowskiej był facetem, który lubił wypić, a myśmy mieli jakieś tam dojścia do gorzały, i za gorzałą, i za łapówkę kupowaliśmy od niego papier, i to całe ciężarówki papieru. Wtedy może jeszcze to nie były duże ciężarówki, w każdym razie Żukiem załadowanym papierem wyjeżdżaliśmy z tego sklepu, oczywiście zapłaciwszy za ten papier, ale powtarzam: to wszystko było reglamentowane. Podobnie kupowaliśmy tam farbę powielaczową w tym sklepie. Układy Janka „Fryzjera”, ewidentnie pijackie, nie chcę powiedzieć „złodziejskie”, bo nie była to żadna kradzież, ale na przykład ten facet, który nam to sprzedawał, kompletnie nie sprawiał wrażenia, że był zaangażowany jakby w naszą sprawę, nie – jego interesowała kasa, czyli łapówka, którą dostał i gorzała. Myśmy mieli dojście do papieru z Jankiem, mieliśmy ten papier, który wrzucaliśmy zresztą do mieszkań naszych znajomych, a czasem przez kogoś poleconych nieznanym, blisko tam na Osiedlu za Żelazną Bramą, żeby nie jeździć tą ciężarówką. Początek stanu wojennego to sztraify policyjne stoją niemal na każdym rogu, na mostach i tak dalej. Mieliśmy ten papier, a w bloku takim na rogu Kijowskiej i Targowej działała drukarnia – drukarnia, która była założona przez Marka Kiszę i Andrzeja Omastę. Marek Kisz był związany z „Nową” jakoś wcześniej, ja

go też kojarzyłem jakoś z regionu Mazowsze, a Andrzej Omasta kręcił się w regionie Mazowsze, kręcił się tam na Mokotowskiej, przysiadł się do ludzi, był w ogóle taki brat łąta, dla wszystkich przyjaciół, taki świetny koleś, bardzo otwarty, przyjazny, serce na wierzchu niemal dla każdego. No i oni założyli drukarnię, to była jedna z pierwszych. Ja wiem, że działała druga grupa, która wydała pierwszy egzemplarz „Tygodnika Mazowsze”, druga grupa „Grubego”, Andrzeja Górskiego, i oni już w styczniu wydawali „Tygodnik Mazowsze”, a mniej więcej równolegle tam działała ta drukarnia, oni tam drukowali taką metodą powielaczową z ramki, a drukowali „Listy z Białołęki” Adama Michnika. No więc mamy tego Omastę, tak jak mówię, brat łąta, Marka Kisza, też dla mnie był takim człowiekiem dziwnym – złoty sygnet, kompletnie jakby nie pasował jego, że tak powiem, image do środowiska podziemnego, i później się dowiedziałem rzeczywiście, że on był z jakiegoś takiego środowiska szemranego, cinkciarzy, no takich tam. Ta drukarnia była w zwykłym mieszkaniu i oni zaangażowali do drukowania dwóch młodych chłopaków, piętnasto- szesnastoletnich. Dwóch młodych chłopaków. Jak ja mówię, ja tam nie drukowałem. Myśmy z Jankiem „Fryzjerem” dowozili tam papier, jeździliśmy z wielkimi torbami, już nie samochodami, już nie taksówkami, bo te samochody były na moście. My jesteśmy po jednej stronie Warszawy, jednej stronie Wisły, ta drukarnia jest po drugiej stronie Wisły, więc nie samochodami, nie taksówkami, tylko wchodziliśmy do tramwaju, stawialiśmy torby z papierem w jakimś tam jednym końcu i wsiadaliśmy czy tam gdzieś staliśmy w odległości dziesięciu metrów, bo kontrolowali też tramwaje czy autobusy, żeby się nie przyznawać to nie nasze, ale nic takiego się nie zdarzyło. Dowoziliśmy tam papier, więc tam parę razy byłem z tym papierem i tak jak mówię, Omasta, zaangażowali dwóch młodych chłopaków – jednego nazwiska nie pamiętam, a drugiego pamiętam, dlatego że to była taka tragiczna historia, straszna historia z tamtego czasu, drugim z tych chłopaków był Emil Barchański, no i ta drukarnia wpadła. Znacząco trudno powiedzieć, czy wpadła, bo wygląda na to, że ona od początku była esbecką prowokacją, bo jak się później okazało, Omasta był agentem, dlatego tak się ze wszystkimi przyjaźnił, dlatego tak wszędzie chciał wejść. Kisz nie wiadomo, on później, tuż przed wpadką tej drukarni został internowany, jakoś dziwnie się złożyło, że niemal dzień wcześniej poszedł do internatu, a ci chłopcy wpadli. Jeden, właśnie Emil, uciekał w ogóle po balkonach, ale to niestety nic nie dało, nie udało mu się uciec, no i zostali, szczególnie Emil, strasznie skatowani przez bezpiekę, trafili do Pałacu Mostowskich i ich tam bardzo brutalnie przesłuchiwali czy nawet torturowali. Z tym jest jeszcze związana taka historia, że prawdopodobnie oni zostali przez Omastę wytypowani do tej tak zwanej wpadki, dlatego że oni zrobili wcześniej taką akcję oblania farbą, czy podpalenia, czy jedno i drugie, to już w tej chwili nie pamiętam, pomnika Dzierżyńskiego, dzisiejszy plac Bankowy, wtedy plac Dzierżyńskiego, tam stał pomnik Dzierżyńskiego. Dzierżyński, który był, wiadomo, patronem służb siłowych, specjalnych, bezpieki i policji, i policja była wyjątkowo cięta na nich – milicja, przepraszam – to bardzo ważne – więc bezpieka była wyjątkowo cięta na nich, dlatego że oni zrobili tę akcję niemal pod ich oknami, 100 metrów czy 200 metrów i jest Pałac Mostowskich, czyli siedziba Komendy Stołecznej Milicji, więc jakby upiekli kilka pieczeni na jednym ogniu – mieli wpadkę drukarni, w telewizji pokazali, że wpadło tam, to było też takie charakterystyczne, bo telewizja na przykład mówiła, że wpadło 10 000 sztuk papieru, no to wyobraźnia takiemu widzowi się od razu uruchamia, że to po prostu poważna drukarnia wpadła, 10 000 sztuk papieru to jest dwadzieścia ryz, to jest może nie jedna duża torba, ale dwie torby. Więc wpadła drukarnia, więc upiekli jakby dwie pieczenie i tych dwóch chłopaków zwinęli. Z Emilem jest taka tragiczna historia, dlatego że on tam nie wymiękł w czasie tych przesłuchań, tych tortur. Oni ich dosyć szybko zwolnili, dlatego że oni małoletni, nie mogli być aresztowani, ale kilka dni jakoś tam spędzili, więc oni ich dosyć szybko zwolnili, właśnie takich skatowanych, no i później była jakaś sprawa w sądzie i Emil wszystkim zeznaniom jakby zaprzeczył, nie poddał się temu, a oni mu w czasie tych przesłuchań

grozili, że jak będzie takim cwaniakiem i będzie taki twardy, i się tak będzie stawiał, to z nim skończą, no i któregoś dnia jego ciało zostało wyłowione z Wisły, poszedł na spacer z psem i nie wrócił już z tego spaceru. Nie ma żadnych dowodów na to, że to była robota bezpieki, ale wszystkie poszlaki wskazują na to, że jednak właśnie tak, że to. Ta historia nie bardzo mnie dotyczyła, jakby pośrednio, a opowiadam o tym dlatego, że wydaje się, że stan wojenny – ja to nazywam wojną polsko-jaruzelską, chociaż oczywiście to nie miało takiego wymiaru jak wojna prawdziwa, I, II wojna światowa, ale to nie było „przeprós”, to szło czasami bardzo ostro. Tam jednak w czasie tej polsko-jaruzelskiej wojny trochę ludzi zginęło, a sporo zostało złamanych, skatowanych, powyrzucanych z pracy, połamali im życie, zyciorysy i tak dalej. Był to czas ciemny, tragiczny czas, ciemny mrok. Tutaj ileś rzeczy, które chciałem poruszać osobno, się spięły. Czy pamiętasz adresy, tak jak mówiłeś, że na Targowej była drukarnia, a na Grzybowskiej był sklep z artykułami drukarskimi. Obiekty pewnie stoją, czy kojarzysz adresy? Tak, tak, znaczy to miejsce na Targowej to konkretnie. Znaczący nie potrafię powiedzieć, jaki to jest numer, ale możemy się tam przejechać – to jest ten wysoki blok, który tam zawsze był. Na dole były delikatesy bodaj. Czyli to jest ten przy Okrzei albo... Nie, nie, róg Kijowskiej i Targowej, tam gdzie tramwaj skręca pod Dworzec Wschodni. Tam coś wybudowali, ale to był wysoki blok i ja pamiętam, że to było wysokie piętro, może jedenaste, może piętnaste. Jaki sprzęt tam był? Nie, nie, oni drukowali z ramki, z matryc białkowych, czyli już takich zawodowych matryc, nie z folii aluminiowej, nie z „Kraju Rad”, bo ja później widziałem, zresztą całkiem niedawno, dlatego że IPN prowadził śledztwo w sprawie Emila Barchańskiego i tam zeznawałem jako świadek, i widziałem te materiały, jeszcze niedawno, jakby ślady tych materiałów drukarskich, które tam zostały skasowane. Wydaje mi się, że tam tylko jedna pozycja była robiona, zresztą która nigdy z tamtej drukarni nie wyszła na zewnątrz, czyli właśnie „Listy z Białołęki” Adama Michnika, bardzo zresztą taki mocny tekst, który tak bez owijania w bawełnę nazywał tę wojnę „wojną polsko-jaruzelską”, wojną przeciwko komunizmowi. Mówię o tym, bo wiadomo, później Okragły Stół, już później ta jakby postawa Adama Michnika już nie jest taka wyraźna, taka mocna. Wtedy była bardzo mocna, wtedy na początku stanu wojennego, na początku tej wojny była bardzo wyraźna – może to jest właściwe słowo, że była bardzo wyraźna i bezkompromisowa, bo te „Listy z Białołęki” gdzieś tam później wyszły, już nie pamiętam, gdzie je czytałem, ale te pierwsze jego teksty wojenne. Pytasz o adresy? Tych adresów, jeśli chodzi o drukarnie, to myślę, że co najmniej kilkanaście mógłbym wskazać, dlatego że myśmy te drukarnie przenosili z różnych względów: ze względów bezpieczeństwa, że jak się działa w jednym miejscu, to jednak gdzieś uwaga, no nie wiem, sąsiadów, dozorców bloków, którzy często współpracowali, bardzo często byli na usługach, mieli jakby podwójną rolę. Myśmy zmieniali te adresy z powodów bezpieczeństwa, ale nie tylko – również z tego powodu, że jak się siedziało w czymś mieszkaniu czy domu, bo to też były domy, dla mnie ci ludzie, którzy nam udostępniali lokale na drukarnie, często było tak, że sami się nie angażowali w druk, w tę działalność taką bezpośrednią, to dla mnie to też są ewidentni bohaterowie tamtego czasu, dlatego że ja sobie szedłem do domu, który miałem czysty, w domu nie trzymałem żadnych materiałów – zdarzało się, oczywiście – ale raczej nie trzymałem. Miałem kumpla na przykład na Ursynowie, u którego przechowywałem książki i moją kolekcję różnych takich podziemnych wydawnictw. Nie trzymałem tego w domu, dom miałem, powiedzmy, w miarę czysty, jakaś jedna książka, którą się czytało akurat, no tak, to miałem czysty, a ci ludzie żyli tam przez tygodnie całe na minie, i zresztą były takie sytuacje, że czasem wyroki dostawali. Jedna konkretna sytuacja, ludzie Bogu ducha winni niemal, no to jest taki przykład z Podkowy Leśnej. Akurat tam nie było drukarni, tylko tam była naprawiana, składana czy konserwowana już duża maszyna drukarska, bo to już jest tam, nie wiem, osiemdziesiąty piąty już, czas trochę późniejszy. W Podkowie Leśnej udostępniła nam dom taka pani, znaczy garaż w tym domu, na naszą działalność, na uruchomienie maszyny drukarskiej, konkretnie

Romayora, większej maszyny, jak na warunki podziemne to w ogóle takiej poważnej maszyny, bardzo profesjonalnej, i udostępniła nam ten dom kobieta, której mąż, wybitny zresztą matematyk, profesor matematyki, praktycznie tam nie mieszkał. Oni byli w jakiejś separacji, ale był jej mężem, nazywał się Borowiec, imienia nie pamiętam, i on osobiście bardzo rzadko się pojawiał w tym domu w Podkowie, no ale jak wpadło to miejsce, jak tam przyszła bezpieka, no bo wpadło to miejsce, no to kogoś musieli zabrać. Ja odmówiłem pracy przy tym dlatego, że nie miałem przekonania do tego, czy ta maszyna w ogóle ruszy, ale chodził tam jakby składać tę maszynę kumpel i jemu się udało, nie wpadł tam, Henryk Skiba nie wpadł tam z tą maszyną. Nie wpadł dlatego, że osoba, która doniosła, mechanik, który z nim tam współpracował, taki znaleziony na wolnym rynku, to znowu dłuższa historia, zniuansowana, w każdym razie tam był wynajęty taki mechanik, który pracował przy składaniu tej maszyny, a ponieważ bezpieka dowiedziała się o tym, że gdzieś w podziemiu jest taka maszyna uruchamiana, więc zrobiła taki research po mechanikach, konserwatorach Romayorów, a ich w Warszawie wtedy było, no nie wiem, może kilku, może kilkunastu. Pierwszy mechanik, którego „Nowa” zaangażowała, on jak zobaczył, że bezpieka się tym interesuje – tak mówię z drugiej strony, nie od strony lokalu, nie od naszej strony – no to wymiękł, a drugi zaangażował się, miał dostać za to jakieś przyzwoite pieniądze, ale jak go przycisnęli, no to się skończyło wpadką. Oczywiście pewności nie mamy, jak to było, wiadomo, że on ich tam przyprowadził, być może miał ogon, trudno tak na sto procent powiedzieć. Dlaczego chciałem się z tego wycofać? Bo to co powiedziałem, mogłoby go obciążać, a ja nie mam żadnych dowodów na to, że to ten mechanik rzeczywiście wymiękł, przyciśnięty przez bezpiekę. Nie mam dowodów i nie mogę go obciążać, może przyszli z jakimś ogonem do niego, w każdym razie to miejsce wpadło. Myśmy z Heniem dzień wcześniej zapili i Heniu tam zamiast przyjechać do tej roboty, do tego składania do tej Podkowy kolejką, zamiast przyjechać tam na dziesiątą rano, przyjechał o dwunastej, po imprezie nocnej. Przyjechał o dwunastej, oni już tam siedzieli, i ten mechanik jakoś stanął w oknie, dał mu znać, żeby spierdalał po prostu. Heniowi się udało, ale bezpieka musiała kogoś wziąć, więc kobieta, która tak naprawdę udostępniła ten lokal, dwoje dzieci czy troje dzieci, pies, źle by wyglądało, więc wzięli Borowca biednego, Bogu ducha winnego. Ja nawet nie jestem pewien, czy on wiedział, co tam było – prawdopodobnie wiedział, ale nie był w to zaangażowany, i Borowiec przesiedział w pierdlu prawie rok, a może nawet ponad rok, bo jeszcze tutaj jest taka sprawa, że począwszy chyba od osiemdziesiątego trzeciego albo czwartego roku rocznicie na 22 lipca – wiadomo, komunistyczne święto – była amnestia, i właściwie później to było nieistotne, jakie wyroki zapadały, bo i tak wiadomo, że idzie się siedzieć do amnestii, i teraz jak ktoś wpadł w czerwcu, to nie było tak, że 22 lipca wszyscy wychodzili, bo jeszcze jakieś procedury trwały i to się czasami przeciągało tam do września na przykład, ale jak ktoś wpadł w tym czerwcu-lipcu, no to siedział dwa miesiące, trzy miesiące, a ta wpadka u Borowców była, nie wiem, w październiku, może w listopadzie, i ten biedny Borowiec przesiedział rok w tym więzieniu, i jeszcze do tego z jakimś kryminalistami go posadzili, którzy go szykanowali tam. Nie było mu lekko. Mówię o tym dlatego, że to są takie paradoksy, że ludzie, tak jak ja, zaangażowani, ja nigdy nie poszedłem siedzieć, nigdy nawet patę policyjną nie dostałem, chociaż chodziłem na demonstracje i nawet mi się zdarzało, że kamieniami rzucałem w zomowców, no ale udało się. Nie pochwalam akurat takich radykalnych metod, ale po prostu jak pamiętam, 3 maja osiemdziesiątego drugiego roku to było, taka ostra akcja na Starym Mieście, płyty chodnikowe rozbijałem i tak było. Tego, mówię, nie pochwalam, ale adrenalina swoje robi, i są tacy ludzie, którzy tak jak ja, zaangażowani, nie siedzieli w więzieniu, taki paradoks, a taki Borowiec rok czasu, i to w ciężkich warunkach. Mam pytanie odnośnie tej maszyny w Podkowie. Powiedziacieś „duża, profesjonalna maszyna”. Skąd ta maszyna się wzięła? Maszyna była złomowana, znaczy to często było tak, to już nawet w latach siedemdziesiątych było tak, że maszyny, które szły na złom

z takich normalnych, profesjonalnych, oficjalnych drukarni, jak były złomowane, taka była procedura, że należało je tam maksymalnie zdekonstruować, porozbijać młotem te ramy i tak dalej, spisać protokół i szła wtedy na złom, i to była maszyna ze złomu, tylko ludzie, którzy ją właśnie rozbijali, byli zblatowani, nie wiem, nie znam tych ludzi, ale byli zblatowani w jakiś tam sposób – albo byli nasi albo zwyczajnie przekupieni, bo to bardzo często tak działało, bo tam się wydaje, że komuna to była taka zwarta, taka organizacja, zdyscyplinowana – nie, wszystko w tej komunie, nawet później, myślę, że w drugiej połowie lat osiemdziesiątych i w bezpiecie, i w milicji to się wszystko już rozkładało, tam już wszyscy kombinowali na lewo coś, jakieś interesy. Komuna pod koniec już nie była ideową komuną, dlatego pękła. Jeden z powodów, dlaczego pękła, że ona się rozkładała od środka, bo w osiemdziesiątym roku wcale my nie byliśmy – mówię o opozycji – tak mocni, to komuna była taka słaba. Przede wszystkim komuna była, że tak powiem, z ich punktu widzenia zdemoralizowana, rozłożona, a w osiemdziesiątym dziewiątym roku paradoksalnie byliśmy dużo słabsi niż na początku lat osiemdziesiątych, dlatego że osiemdziesiąty pierwszy, osiemdziesiąty drugi rok, nawet początek stanu wojennego, gdzie represje były bardzo silne, o wiele łatwiej było na przykład znaleźć ludzi do współpracy, ludzi, którzy by nam dawali lokale, kupowali książki od nas i czytali te książki, a druga połowa lat osiemdziesiątych, koniec lat osiemdziesiątych to już jest zniechęcenie, ryzyko jest dużo mniejsze, wyroki są dużo niższe, represje są dużo słabsze, ale nie ma już tego ducha, nie ma tej woli, tak że w gruncie rzeczy myśmy byli bardzo słabi, ale komuna też była słaba, komuna była po prostu rozłożona, że tak powiem. Ale poczekaj, pojawił się jakiś poboczny wątek, a... Nie, to bardzo dobra sekwencja wyszła z tym sprzętem złomowanym. A, z tym złomowanym sprzętem. Tak. No więc ci ludzie, którzy złomowali, po prostu tym młotem potrafili tak pieprzyć, bo protokół tam musieli spisać, ale tak uszkodzić tę maszynę, że ona się nadawała do naprawy. Pierwsze takie maszyny, z tego co wiem, to trafiały do podziemia już w latach siedemdziesiątych, właśnie w ten sposób załatwione, a tę maszynę kupił Grzesiek Boguta, ale jak ja ją widziałem, to ona dobrze nie rokowała. Nawet nie chodzi o to, że była zniszczona, już była tak wyeksploatowana ta maszyna, że nie widziałem jej, dlatego się wycofałem z tego, bo na początku tam próbowałem. Ja nie jestem mechanikiem, to zaznaczam, poligraf to nie jest mechanik, poligraf to jest technolog, teraz studia to się nazywają „technologia poligrafii”, wtedy się nazywały „poligrafia”, ale mimo wszystko jak ja ją widziałem, to ja się poddałem, nawet z tym pierwszym mechanikiem nie chciałem tego robić, bo słabo to widziałem. Znam hasłowo taką historię, mój przyjaciel, który był w grupach oporu, zresztą Żłoty Krzyż Zasługi dostał głównie za jazdę w różne dziwne miejsca typu Albania, Rumunia, Mongolia, ze sprzętem poligraficznym, z kasą i ze szkoleniami. On wymieniał nazwisko pani kapitan, nie pamiętam w tej chwili tego nazwiska, trochę starsza od nas, która na jachcie przemycała sprzęt poligraficzny ze Szwecji. Czy kojarzysz tę historię może? Znaczącej tej historii nie, ale myśmy odbierali sprzęt, raz albo dwa razy się tak zdarzyło, że przyjechał chyba ze Szwecji cały samochód sprzętu. Ja załatwiłem akurat miejsce na garaż, na przechowanie tego sprzętu. No tak, no generalnie to w ogóle sprzęt przychodził z Zachodu, z zagranicy. Jakie były główne linie przerzutowe? Tego to ja nie wiem, to jakby nie była moja. Droga morską, samochodową? Ja pamiętam jedną albo dwie takie akcje, kiedy przyjechał sprzęt samochodem, no i dostawy zresztą musiały być ciągłe, dlatego że ten sprzęt się psuł, eksploatował. Przychodziły też materiały różnego rodzaju, matryce białkowe, bo były polskie matryce białkowe, ale one były bardzo kiepskiej jakości. Matryce białkowe na przykład przychodziły z zagranicy, czasem trafiała się dobra farba z zagranicy. Ja sporo materiałów załatwiałem z Instytutu Poligrafii Politechniki Warszawskiej, dlatego że tam skończyłem studia i tam też miałem swoje takie towarzyskie, ale nie tylko towarzyskie, jakby podziemne układy, byłem powiązany z ludźmi, którzy pracowali w Instytucie Poligrafii, moi wcześniejsi wykładowcy, u jednego tam pracę magisterską robiłem, no więc oni nam załatwiali czy pracowali dla nas też,

zlecałem robienie blach offsetowych bardzo wysokiej jakości. Właśnie wtedy ta współpraca z Instytutem Poligrafii zaowocowała tym, że ta poligrafia podziemna, która była różnej jakości, w pewnym momencie wskoczyła na dosyć wysoki poziom – po pierwsze, z powodu materiałów, poza tym dzięki fachowości tych ludzi i fachowości tego sprzętu, bo na przykład blachy offsetowe robili na sprzęcie, czy robiliśmy razem, bo ja tam też przychodziłem, w Instytucie Poligrafii. Diapozytywy to robiłem w domu, różnie bywało. Pierwsze diapozytywy na początku stanu wojennego zrobiłem, to jedne z pierwszych książek „Nowej” to były zrobione na diapozytywach. Pamiętam takie dwie książki, jedna była pod pseudonimem „Te Jot”, a to był Tomasz Jastrun, tomik wierszy „Na skrzyżowaniu Azji i Europy”, a druga antologia wierszy wojennych, no to wybór. Do tego robiłem diapozytywy w domu, akurat opracowałem sobie taką technikę fotograficzną na takich materiałach, które się nazywało mikrofilmy, materiały do mikrofilmowania, w każdym razie robiłem w domu, a materiały z Instytutu Poligrafii do zrobienia tych diapozytywów. Ja tego nie drukowałem, wydrukował to bardzo ładnie, szczególnie ta antologia wierszy wojennych była drukowana na sicie z użyciem pasty komfort i pachniała pastą komfort, pachniała mydłem, wydrukował taki legendarny drukarz, który nie żyje już bardzo, bardzo długo, ale jego historia, zdaje się, jest historią osobistą, więc nie będę w to wnikał, w każdym razie miał na imię Norbert i ja dla niego robiłem te diapozytywy do antologii wierszy wojennych i do tej [drugiej książki]. A równolegle działała na offsecie grupa Andrzeja Górskiego „Grubego” i oni wydali pierwsze numery, czyli to był koniec stycznia, jakoś tak, osiemdziesiątego drugiego roku, bo 13 grudnia to jest osiemdziesiąty pierwszy, prawda? Więc osiemdziesiątego drugiego roku z końcem stycznia wydrukowali pierwsze numery „Tygodnika Mazowsze”, ale ja ich spotkałem dopiero później. Ta grupa była dosyć, bo też trzeba wiedzieć, że po pierwsze, „Nowa” to było ogromne przedsięwzięcie, to było ogromne wydawnictwo, ja nie wiem, nawet na dzisiejsze czasy to by było bardzo poważne wydawnictwo. „Nowa”, to było kilkadziesiąt tytułów rocznie, kilkadziesiąt tytułów książek, ale nie tylko książek, również periodyków: „Krytyka Polityczna”, „Wakat”, „Usługowo”, „Praworzędność”, no jest cała lista tych periodyków, a „Krytyka” to jest mniej więcej kwartalnie, nie zawsze kwartalnie wychodziła, to jest taka gruba książka, „Krytyka Polityczna” w tamtym czasie, „Wakat” trochę cieńszy, „Spektator” trochę cieńszy, krajowe wydanie „Pulsu” trochę cieńsze – to wymieniam tylko periodyki, a do tego dochodzą książki, do tego dochodzą różnego rodzaju akcendy, chociaż tych mało, bo tych się niespecjalnie podejmowaliśmy, chyba że były akurat jakieś tam wybory i bojkot wyborczy i wtedy się jakieś tam plakaty, ulotki albo na przykład „Gruby” Andrzej Górski głodował przez pół roku w więzieniu i go tam nie chcieli wypuścić na przepustkę nawet na pogrzeb ojca, więc robiliśmy wtedy ulotki, robiłem ulotki „tam Andrzej Górski głoduje”, ale na przykład znaczki raz jeden zrobiliśmy – a, nie, przepraszam, były też znaczki zrobione przez „Nową”, nie przeze mnie konkretnie, dla Karty 77, czechosłowackiej jeszcze wtedy, nie czeskiej, na ich dziesięciolecie, dziesięć lat Karty 77. Świetne znaczki, świetne, w ogóle super – w kilku kolorach, znakomicie zrobione, tutaj w Polsce zrobione jakby usługowo na zamówienie Czechów czy Czechosłowaków, no nie ma takiej nacji, ale zamówili z Czechosłowacji, Karty 77. Mam te znaczki zresztą, znakomicie zrobione, ale powtarzam, nie moja akurat robota, ja zrobiłem jakieś znaczki raz jeden, fajne zresztą, z bardzo fajnym projektem graficznym, chyba z okazji wyborów. No więc mamy periodyki, „Tygodnik Mazowsze” na przykład, bo jak później z czasem „Tygodnik Mazowsze” już miał własną poligrafię, ale bywało, że nie dawali rady i mieli jakieś problemy z własną poligrafią, zepsuła im się maszyna czy coś, i wtedy robiliśmy dla nich „Tygodnik Mazowsze”, ale „Tygodnik Mazowsze”, nie wiem, połowa nakładu, jakaś duża część nakładu, no to był jeden bagażnik osobowego samochodu, do druku gdzieś tam się wiozło to, pamiętam, na Saską Kępe do jakiegoś lokalu wrzucaliśmy, a to był niecały nawet bagażnik, dwie duże torby, i to była, powiedzmy, połowa, może jedna trzecia nakładu „Tygodnika Mazowsze”, a jedna książka

wydana, bo wydawaliśmy książki w nakładach, nie wiem, 2 000–7 000, to czasem była półciężarówka pełna. Mówię o tym, żebyśmy sobie zdawali sprawę ze skali tego przedsięwzięcia. „Nowa” przerabiała, no nie wiem, wagony papieru rocznie, to było ogromne przedsięwzięcie, mnóstwo ludzi w to zaangażowanych, dużo grup, i teraz jest taka istotna sprawa, że te grupy były niezależne, myśmy się często nie spotykali, nie znali, może w drugiej połowie lat osiemdziesiątych to już się znaliśmy, ale niemal się nie znaliśmy, i to były też takie inicjatywy niezależne. Nie było tak, że to była jakaś taka hierarchiczna, zorganizowana struktura, nie wiem, dyrektorów, zastępców i tak dalej, tylko te grupy działały tak niezależnie. Dzięki temu zresztą kolejne wpadki, bo były wpadki w „Nowej”, to nie jest żadną tajemnicą, ale okazało się, że właśnie brat „Grubego” Andrzeja Górskiego poszedł na współpracę z bezpieką i to „Gruby” miał te wpadki. Tam wpadały drukarnie, ale praca trwała, firma ciągnęła dalej, ale właśnie dlatego, że to było dużo niezależnych grup, autonomicznych, niezarządzanych w sposób taki centralny. Ilu ludzi w to było zaangażowanych, w drukowanie to jeszcze można policzyć, ale już później dalej w kolportaż to są, nie wiem, setki ludzi, a czytelników tysiące. Sama „Nowa”, tylko jedna „Nowa” to już było takie przedsięwzięcie, a cały ruch podziemny wydawniczy w tamtych czasach, cały ruch to jest, nie wiem, druga połowa lat osiemdziesiątych, to już jest kilkadziesiąt wydawnictw w całej Polsce. Myślę, że „Nowa” była największa, jedną z największych na pewno. Drugim takim dużym wydawnictwem był „Kąg”, trzecim dużym wydawnictwem „Przedświt”, w Krakowie „Oficyna Literacka” i tak dalej, i tak dalej. Ruch wydawniczy to było ogromne przedsięwzięcie podziemne – no, nie przedsięwzięcie, bo to brzmi tak, jakby to była właśnie jakaś scentralizowana rzecz.